Nr. 31 (22) Lwów, dnia 1. Listopada 1888 r. Rok I (II)



Pismo poświęcone literaturze, sztukom pięknym, nauce i sprawom społecznym.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr. kwart. 1 zł. 50 ct., mies. 50 ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie 12 marek, półrocznie 6 marek ćwierćrocz. 3 m., miesięcz. 1 m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawcy: **Józef Rogosz i Stanisław Błotnicki.** — Redakcja i Administracja „*Ruchu* i *Wieczorów zimowych*" **w drukarni nar. W. Manieckiego ulica Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„*Ruch* i *Wieczory zimowe*" **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

Tego dnia późnym wieczorem, pani Milińska siedząc z matką w swoim pokoju, żywo z nią rozmawiała. Hrabina nie mogła dość nachwalić się hr. Artura, że taki wesół i tak przyjemnie rozmawia. Jego syn mniejsze już na niej zrobił wrażenie, bo mniej nią się zajmował. Przytem z natury jako małomowny, nie był także zbyt pochopny do komplemintów, a ona dla takich nie była nigdy ze szczególniejszem nabożeństwem.

— Ciekawam bardzo, co by też mama na to powiedziała — rzekła córka — gdyby tak starszy hrabia oświadczył się o mamę.

— On? Cha, cha, cha, a mnieby na co tej subjekcji? Gdyby choć był bogaty, rzecz inna, mogłabym wtedy bawić się, podróżować ale skoro, jak wszyscy utrzymują, jest już zrujnowany, niech mi więc da święty pokój

— Mama wolałaby może syna — córka żartobliwie wtrąciła.

— Tego moribonda? I to nie! Siostrą miłosierdzia być nie chciałabym, a gdyby był zdrowszy i energiczniejszy, wtedy rada nie rada, jabym musiała się zastosować do jego woli i kaprysów, a to przyjemności bynajmniej nie sprawia. Wierz mi Eleonoro, tylko warjatki wychodzą za młodszych od siebie.

— Nie domyśla się też mama, czemu oni tak często u nas bywają?

— Rzecz bardzo prosta. U siebie, w domu, nudzą się, gdy przeciwnie tu mają odpowiednie towarzystwo, koncert, muzykę Na wsi, moje dziecię, takie rzeczy są nieocenione.

— A wie, mama, co mi się dziś przydarzyło?

— Cóż takiego? — zapytała ciekawie hrabina, przysuwając swój fotel do krzesła córki.

— Gdyśmy siedzieli przy stole, a mama z ojcem rozmawiała, syn jego zaczął tymczasem sentymentalnie oczy mróżyć, potem nawet wzdychać i ciągle mówił o swej duszy zbolałej a wykolejonej, która napróżno szuka duszy sobie pokrewnej.

— Cóż ty na to? matka zapytała z wzrastającą ciekawością.

-— Słuchałam, bo mnie to bawiło, lecz nie dałaby mama wiary, jak on wtedy zabawnie wyglądał. Wielkiej też trzeba było siły, żeby mu w oczy nie parsknąć. Nie koniec jednak na tem...

— Nie? Cóż się więc stało?

— Spojrzawszy nagle na tę oto bransoletkę, pragnął ją koniecznie bliżej obejrzeć. Chciałam ją rozpiąć, nie mogłam. On widząc to, wziął mnie za rękę, lecz zamiast zająć się bransoletką, zaczął moją rękę chwalić, w końcu nawet ją uścisnął, a tak jakoś szczególnie...

— Warjat! — krzyknęła hrabina. — Cóżeś więc zrobiła?

— W pierwszej chwili chciałam wstać i odejść, lecz gdym pomyślała, że to mogłoby zwrócić czyją uwagę, poprzestałam tylko na cofnięciu ręki.

— Dobrześ zrobiła. Eluńciu! Antoszka pierwsza byłaby sobie Bóg wie co pomyślała... Ten gruby szlachcic zechciałby się także najgorszego domyślać, warjat! Skończony warjat! Ale wiesz co, aniołku, najlepiej zrobisz. jeżli i nadal będziesz tak samo jak dotąd postępowała. Na co mamy ich sobie zrażać bezpotrzebnie... Mężowi także o tem nie wspominaj.

Córka uśmiechnęła się na tę uwagę.

— O tem mi mama nawet mówić nie potrzebowała. Henryk zrobiłby zaraz awanturę, bo

chociaż obojętnego udaje, jest on jednak bardzo zazdrośny.

— I musi zazdrościć... Kto posiada taki skarb mój aniele, ten jak skąpiec zawsze trwoży się o niego! Tak, tak, najlepiej trzeba udawać, że się nic nie zauważyło, bo szkodaby nam było ich towarzystwa.

O tej samej godzinie, mieszkańcy pałacu po drugiej stronie jeziora, siedząc w gabinecie na pierwszem piętrze, także z sobą rozmawiali.

— I cóż, dalekoś zaszedł? — syn pytał.

— Jam już mamusię całkiem opanował i ta mi z pewnością nie przeszkodzi — ojciec odpowiedział — ale ponieważ nie ona jest ostatecznym moim celem, więc na ciąg dalszy trzeba jeszcze zaczekać, poczem zakończenie niewątpliwie nastąpi... Ty jednak, który od razu wziąłeś się do zakończenia, powiedz mi, jakieś dotąd odniósł sukcesy?...

— Żadne.

— Żadne? — ojciec powtórzył, usta otwierając. — Tego byłbym się znowu nie spodziewał... Tyle czasu zmarnować i kroku nie postąpić, to za wiele... Jak widzę, będę cię musiał prędzej zluzować, niżem sam chciał.

— Zobaczymy, czy więcej osiągniesz. Wiesz co, ojcze, mnie się zdaje, że nietylko ani ja, lecz ani ty, w ogóle nikt na świecie nie podbije tej kobiety.

— Nikt? Ciekawym dla czego.

— Bo to jest kokietka na zimno.

— Na zimno? — ojciec powtórzył, palec do góry podnosząc, przyczem usta znów otworzył. Chwilę tak siedział rozważając, potem rzekł: — Może masz i rację, o takich ja zawsze utrzymuję, że są najgorsze. Ale powiedz mi, Leonardzie, z czego ty to właśnie wnioskujesz?

— Z wszystkiego. Nie raz mi to już na myśl przychodziło, ale dopiero dziś bardziej się w tem utwierdziłem. Chcąc w jakikolwiek sposób dojść do porozumienia, zacząłem chwalić jej bransoletkę, aby raz już przecie zacząć mówić o czemś takiem, co z nią jest bardziej złączone.

— Rozumiem... rozumiem — przerwał ojciec — tak uczy dobra metoda.

— Otóż ledwiem wspomniał o bransoletce, ona zaczęła ją zaraz rozpinać. Nie udało się... Wtedy z najobojętniejszą w świecie miną, wyciągnęła ku mnie rękę mówiąc: „Niech pan sprobuje.“ Wziąłem się do rzeczy, ma się rozumieć tak, żeby jej nie odpiąć, tymczasem przypatrywałem się jej ręce, aż powyżej kostki. Warto widzieć... Toczysta... biała... ciepła... ty zaraz byś powiedział: *Prachtvol! Superbe!*

Stary hrabia językiem mlasnął i oczy jego blasku nabrały.

— Mów dalej, mów dalej... Chociaż wiesz, bardzo mnie to zastanawia, jakim cudem mogłeś zajść aż tak daleko, a jam tego nie widział. Tyleś sprytu okazał, i tak mnie w pole wyprowadziłeś, że nietylko ciebie, nawet siebie zaczynam się wstydzić. Ale mów dalej, mów!

— Gdym tak jej rękę w mojej trzymał, pomyślałem: trzeba ją uścisnąć! Zobaczymy, co z tego wyniknie.

— I uścisnąłeś? — ojciec niecierpliwie podchwycił.

— Uścisnąłem.

— Cóż ona na to?

— Nic. Chwilę jeszcze pozwoliła podziwiać swoją rękę, potem cofnęła ją łagodnie. Spojrzałem na nią. Wyglądała jak zawsze. Ani była bledsza, ani bardziej czerwona i spojrzenie miała tak spokojne, jakby się zgoła nic nie stało.

— To okropne! przerażające! — zawołał stary hrabia, nadspodziewanie szybko z miejsca się zrywając. — Ona widać nic nie czuje, kobieta zaś, która nie czuje, to potwór! Ktoby był coś podobnego przypuścił, wygląda tak przyzwoicie i ja ją dotąd miałem za porządną kobietę! Chociaż i to prawda, że umie grać komedje. Przypominasz sobie wtedy, kiedy to ta sławna awantura była w kościele? Chciała nas odurzyć tam pod krzyżem... Kto inny może byłby poszedł na lep, lecz nie ja, stary wróbel..

— I nie ja — syn dorzucił.

— Spodziewam się, boś także z pieluch wyrósł. Kobieta na zimno, na zimno — mówił dalej, po pokoju chodząc — Ale nie sądź, żeby i na takie nie było sposobów. Są, są, tylko trzeba wielkiego zachodu. Znasz przecie przysłowie, które powiaba *par amour, on par force*! W tej sentencji, mój kochany, mieści się prawda głęboka.

— Być może — syn odrzucił — gdy jednak miłość potrzebuje czasu i udawania, które jest niezmiernie męczące, drugi zaś środek jest ponoś zanadto ryzykowny, więc ja prawdopodobnie dam wszystkiemu pokój.

— Rzeczywiście?

— Nie ciesz się tylko przedwcześnie. Przecie nie powiedziałem, żem już broń złożył.

— Poczekam, poczekam, mój Leonardzie, ale dałby Bóg, żebyś się jak najprędzej do reszty zniechęcił. Potem przyjdzie kolej na mnie, i dopiero wtedy przekonasz się, co znaczy rutyna. Przypominasz sobie jakem ci raz mówił, że my będziemy na zwierzynę czatowali, a mąż będzie gonił. Czy moja przepowiednia może się nie sprawdza? Ilekroć w Trzcińcu jesteśmy rzadko się pokazuje, a dziś pozwolił im nawet samym wyjechać, bo ten gruby szlachcic, który tak pije, że o bożym świecie zapomina, nie może być przecie uważany za ich opiekuna. Zaczął więc gonić, zaczął, a jak dobrze pójdzie, będzie jeszcze lepiej gonił. Ty kapitulujesz, lecz ja nie ustąpię, bo toby było niegodne stanu rycerskiego. He, he, he, my się nie damy, rutyna to rzecz najważniejsza!

Dnia tego każdy z naszych znajomych w innem usposobieniu kładł się spać. Hr. Leonard ziewając, badał się, czy go co nie boli, i czy mu nie jest zimno. Hr. Artur snuł plany daleko sięgające, i uśmiechał się pod pierzyną, którą nakrywał się tak zimą jak latem. Pan Miliński kładł na poduszkę głowę strapioną, kłopoty jego bowiem codzień większe się robiły. Pan Bielski przypomniawszy sobie szampana, którego pił, uznał, że lepszy on bez porównania, niż ci, co go nim częstowali. Pani Eleonora myślała w jaką suknię ubierze się dnia następnego rano, a w jaką popołudniu. Hrabina zirytowana na służącą, która ją nie dość zgrabnie rozbierała, usypiając złorzeczyła wszystkim sługom bez wyjątku, nazywając ich największą plagą ludzkości. Nareszcie Antosia, ułożywszy do snu dzieci i zmówiwszy pacierz przed swojem łóżkiem, przy-

pomniała sobie wszystko, co tego dnia widziała i słyszała, a gdy znużenie zaczęło jej powieki zamykać, cicho westchnęła:

— Boże! Boże! czemu się one tak kompromitują

X.

Prawdę powiedział pan Bielski, że hrabina lubiła go jak pies jeża. On wiedział o tem, ona zaś wcale się z tem nie taiła. Między temi dwiema osobami dobra harmonia trwała ledwie jednę dobę. Gdy ta upłynęła, wszystko się zmieniło. Pierwszego dnia pani Klementyna badała nową osobistość, jak nauczyciel ucznia, zażywając ze stron rozmaitych. Wszakże gdy się przekonała, że zachwalany przez zięcia wujaszek, jest gorszy od niego samego, powiedziała zaraz córce, iż bardzo wielkie stało się nieszczęście, że taka figura do Trzcińca przyjechała. I nie mogło być inaczej. Ona była zanadto wymagająca, pan Bielski zanadto prawdomowny, przytem rubaszny. Co miał w sercu i w myślach, to i na języku, w komplementa się nie bawił, prawdę ciął od ucha, na nikogo się nie oglądając. Ileż to razy, w pierwszych zaraz dniach się zdarzyło, że gdy hrabina rozwijała przy obiedzie tę lub ową ze swych licznych teoryj, z których jedna była piękniejsza niż druga, i gdy gospodarz sam słuchał ich w milczeniu, mając na talerz oczy spuszczone, pan Bielski poruszał wąsami i na głos cały wołał:

— Jechał że ich sęk z takiemi zasadami!

Chociaż hrabina niejednokrotnie dała mu do zrozumienia, że damom nigdy się nie oponuje, najmniej zaś w ten sposób, i lubo raz wprost mu nawet powiedziała, że jego postępowanie jest brutalne, szlachcic nie wziął sobie tego do serca i dalej swoje robił. To ją tak dla niego usposobiło, że z nim nawet rozmawiać nie chciała.

— Arogant, brutal, a w dodatku głupi! — mawiała do Leonory. — Wielebym dała za to, żeby tego nieznośnego dziada tu nie było.

Pan Bielski odpłacał jej pięknem za nadobne i także unikał z nią nietylko rozmowy, nawet spotkania.

— Śliczna lala! śliczna! — mawiał do siostrzeńca. — Jechał że ją sęk! Wierz mi, mój słodziutki kochasiu, jeżeli się tego babska z domu nie pozbędziesz, pożałujesz tego z pewnością, bo będziesz miał z niej zły przykład dla dzieci. Ona ci tu wszystko i wszystkich znarowi. Na taką lalę jest tylko jeden środek. Pod jej fotel połóż nabój dynamitu i hejże do góry!

Niechęć hrabiny do „wołu podolskiego“ jak go poufale w pokoju córki nazywała, wzrosła jeszcze po fakcie następującym, który narobiwszy dużo śmiechu we dworze, obił się głośnem echem nietylko o probostwo, lecz także o pałac w Ujściu Leśnem

Pan Bielski wracając raz z pola, ujrzał przed dworem dziewczynę zapłakaną. Była to ta sama, która hrabinie stale usługiwała.

— Czego ty płaczesz? — zapytał.

— Ta bo jaśnie pani kazała mi prosić małych państwa.

— Jakich małych państwa?

— Kiejbym wiedziała, tabym nie beczała.

Trafna była odpowiedź. Jakim cudem mogła wiedzieć prosta dziewczyna, kogo hrabina uważała w Trzcińcu za „małe państwo,“ skoro on sam, p. Tadeusz Bielski, nawet się tego nie domyślał. Lecz szlachcic polski nie może zostawać długo w niepewności. Czego nie rozwiąże, to rozetnie.

— Już go znam! — zawołał, w czoło się uderzając. — Ponieważ jako hrabina i jaśnie wielmożna uważa się za arystokratkę, to jest za wielką panią, więc my, zwykła szlachta, jesteśmy małem państwem. A jechał że cię sęk za to! Kiedy chcesz, będziesz nas miała. Pójdziemy, pójdziemy, ale przy tej sposobności chociaż dobrze się z niej naśmieję.

To powiedziawszy, poszedł natychmiast po Antosię i pana Milińskiego, a gdy im powiedział że hrabina chce ich koniecznie widzieć, ruszyli razem na górę. Właśnie gdy pan Bielski pocisnął klamkę od jej pokoju, dał się z wewnątrz słyszeć głos donośny:

— Cóż małpo, idziesz?

— Jesteśmy, jesteśmy, pani hrabino — odpowiedział szlachcic, zbliżając się do niej krokiem posuwistym.

Czytała właśnie bardzo ciekawy romans, ale na widok trzech osób, z których dwie nigdy się u niej nie pokazywały, a trzecia Antosia, bardzo rzadko, książka z ręki jej wypadła. W jej oczach widać było zdumienie.

— Co? Co? — zapytała.

— Pani hrabina raczyła sobie nas widzieć.

— Panów... państwo?

— Tak jest, służąca nam mówiła, że pani hrabina chce widzieć u siebie małe państwo, a że w Trzcińcu trudno o mniejsze niż my tu, chudopachołki, przeto przychodzimy.

— Ależ ja pod małem państwem rozumiałam dzieci, bo przecie do takiej prostej małpy ja mówić nie mogę! — zawołała gniewnie hrabina.

— Dzieci? Cha! cha! cha! a to paradna historja, moja mościa dobrodziejko! Jechał że cię sęk z takim konceptem! Sześćdziesiąt lat już żyję i do tego z czubkiem, a podobnego tu dotąd nie słyszałem. Dzieci nie są dziećmi, tylko małem państwem! Cha! cha! cha! Pani hrabina przywiozła to zapewne z głębokiej Ukrainy... Bodaj się takie zabawne historje na kamieniu rodziły, człowiek nie byłby nigdy smutny. Jak Boga kocham, trzeba ten kocept dać do spirytusu, żeby go na wieki zamarynować.

Podczas gdy szlachcic to mówił, za boki się trzymając, a hrabina czerwona, zła, zaperzona mierzyła go takiemi oczyma, w których każdy błysk był strzałą zatrutą, co śmierć niosła, pan Miliński i Antosia spostrzegłszy w jaką kabałę niewinnie popadli, uznali za rzecz najwłaściwszą, wynieść się cichaczem. Pan Bielski nie zabawił także długo. Powiedziawszy swoje i poleciwszy się pamięci pani hrabiny i wielce szanownej mości dobrodziejki, zaczął ku drzwiom się cofać. Ona szybko powstała i mając wyraz piorunowy na twarzy, chciała coś powiedzieć. W lot atoli musiała inaczej się namyśleć, skoro nim jej prześladowca do drzwi zdążył, krzykiem:

— Ach! ach! ach! Nikt mnie nie broni! Ach! ach! ach! — padła na fotel i tak głośno płakać zaczęła, że z pewnością słychać ją było w Komarowie.

— Spazmy, palpitacje serca, w końcu może jeszcze zechce zemdleć — mówił szlachcic do siebie, po wschodach zstępując.—Nie, tego nie uczyni

bo nikogo nie ma przy sobie, więc bałaby się, żeby jej to nie zaszkodziło. Biedny ten Henryk... biedna ta Antosia... to mają lalę. A jechał że cię sęk z taką jejmościanką!

Od dnia tego między tymi ludźmi wojna była bezustanną.

Polityk przezorny i wytrawny tak zwykł postępować, że ilekroć ma przeciw sobie dwóch nieprzyjaciół, stara się ich najpierw poróżnić, potem jednego z nich zjednać dla siebie, w chwili stosownej aby wespół z nim rzucić się na drugiego. Tej samej taktyki chwyciła się hrabina. Mając przeciw sobie aż dwóch naraz nieprzyjaciół, z którymi łączyła się także jej córka wyrodna Antonina, (słusznie jej nie lubiła, gdyż oddawna wiedziała, co w niej kipi) prędko osądziła, że pan Bielski był jej większym wrogiem, niż Henryk. Od zięcia mogła jeszcze coś znieść, choćby dla tej racji, że był mężem jej córki najukochańszej, ale jakiem prawem mógł się nad nią znęcać ten gruby szlachcic z okolicy Zbaraża! Tego więc należało zwyciężyć i podeptać. I aby cel zamierzony tem pewniej i prędzej osiągnąć, zaczęła zbliżać się do zięcia, chwalić jego zasady, unosić się nad dziećmi, nawet raz na dzień każde z nich odtąd brała na ręce i całowała serdecznie, w końcu niby to przypadkiem raz i drugi nazwała go znowu „drogim synciem“ jak ongi, kiedy nad nim unosić się, poczytywała za najprzyjemniejszy i najświętszy swój obowiązek. I podczas gdy nań sieci zarzucała, licząc głównie na jego serce, równocześnie starała się w nim obudzić ambicję i skłonić go do rozstania się z wujem, którego malowała jako człowieka złego, niemoralnego, przewrotnego i niebezpiecznego. Sama obecność takiej figury w domu przyzwoitym przynosiła mu hańbę.

Zięć słuchał, chrząkał, czasem coś bąknął, w końcu jednak zniecierpliwiony wręcz jej oświadczył, że rodzony brat jego nieboszczki matki, pan Tomasz Bielski, obywatel z Podola galicyjskiego, mimo wad swoich, jest człowiekiem bardzo porządnym i że on, Henryk Miliński, szczerze go kocha.

Hrabina po dziesięciodniowych zabiegach otrzymawszy taką odpowiedź, jęknęła z głębi duszy.

— Napróżnom się łudziła! Napróżno! Już to kruk krukowi oka nigdy nie wydziobie!

Wkrótce po powrocie z Poznania, pan Miliński postanowił pojechać do Wrocławia i Berlina. Dopiero gdyby ani w jednem ani w drugim mieście nie otrzymał pożyczki na dogodnych warunkach, miał od barona wziąść zaliczkę na buraki. Okazuje się z tego, że sam się lękał interesu z baronem. Wiedział jednak o tem, że w ostateczości będzie go musiał zrobić.

Ledwie zięć wyjechał, hrabina puściła się znowu do Komarowa. Wszakże tym razem udała się tam sama jedna. Pani Eleonora, może rzeczywiście dla bolu głowy, na który dnia tego od rana się skarżyła, a może także przez wzgląd na obecność wuja, została w domu. Hrabina tak jakoś zręcznie wszystkiem pokierowała, że nietylko widziała się z baronową i jej mężem, którego w ogrodzie sama zaczepiła, ale była także u nich w domu i w dłuższej przemowie usiłowała ich nakłonić do zrobienia wizyty w Trzcińcu.

— Mój zięć byłby to już pierwszy uczynił — mówiła między innemi — ale on, jako Polak, boi się, czy go państwo będziecie chętnie u siebie widzieli... Jeżeli jednak pan baron, jako starszy, pierwszy się do niego zbliży i tem go ośmieli, ręczę że będzie najszczęśliwszy.

Tak dużo mówiła, tak wymownie tłumaczyła, a tak gorąco prosiła, że małżonkowie, zamieniwszy z sobą znaczące spojrzenia, zrobili jej w końcu nadzieję, iż może będą w Trzcińcu. Uszczęśliwiona, pożegnała ich po całgodzinnym komersie, a gdy do powozu siadała, tylko to jedno było dla niej przykrem wspomnieniem, że prócz szklanki zimnej wody na wizycie nic więcej niedostała, a ona tak lubiła cukry, ciasta, konfitury i wszelkie chłodniki! Już to ci Niemcy — jadąc myślała — o dobrym tonie żadnego nie mają wyobrażenia.

Zaledwie na drodze dał się słyszeć turkot odjeżdżającego powozu, baron Maurycy rzekł do żony:

— Możeby to i nieźle było, gdybyśmy do Milińskiego pierwsi pojechali. Zresztą to mu się nawet należy, bo myśmy się tu później sprowadzili.

— Ale czy to nie pokrzyżuje twoich planów co do Trzcińca? — praktyczna żona zauważyła.

— Przeciwnie, raczej mi dopomoże. Jeżli będę u niego bywał, jako sąsiad i dobry znajomy, nikt potem nie powie, żem go dla tegom wyzuł z majątku że jest Polakiem. Owszem, rozwinąwszy jaką taką zręczność, tak nawet sprawą pokieruję, że nabycie Trzcińca będzie wyglądało jako czyn przyjacielski, którym chciałem mu dopomódz. Bacznie będę przestrzegał, żeby się bardziej nie zadłużył, każdy więc tysiąc, który mu dobrowolnie dopłacę, będzie musiał za dobrodziejstwo poczytywać. Jakże więc sądzisz żono?

— Skoro tak, to kiedyś pojedziemy—poważnie odpowiedziała.

Baron mówiąc o zamierzonej wizycie, tłumaczył jej potrzebę tylko interesem. Tymczasem był jeszcze inny powód, i kto wie czy nawet nie potężniejszy od interesu, który go do niej zachęcał. Ludność polska w całem WKs. Poznańskiem i Prusiech zachodnich, a przedewszystkiem szlachta, unika Niemców z powodów narodowych i towarzyskich. W zupełnem od nich oddzieleniu widzi ona wieksze rękojmie dla swojej narodowości, a dobre formy, do których szlachta polska jest przyzwyczajona, kłócą się na każdym kroku z wrodzoną Niemcom rubasznością. Niemcy wiedzą o tem, a nie mogąc Polakom nie przyznać wyższości na polu towarzyskiem, są bardzo uradowani, nawet im to wielce pochlebia, ilekroć mogą wejść do jakiego domu polskiego. Tak samo i do barona, mimo iż był człowiekiem bogatym i członkiem wielkiej ojczyzny niemieckiej, ponętnie uśmiechała się nadzieja, że może wkrótce będzie bywał o biednego szlachetki polskiego, którego narodowość przez ministrów pruskich została z pod prawa wyjętą Ale chociaż mu to wielce pochlebiało, przecie myśli swojej nie zdradził przed żoną, w duchu bowiem wstydził się, ża mimo majątku, tytułu, stosunków i rangi rotmistrza w wielkiej armii niemieckiej, czuje się sam tak małym w obec tego szlachcica polskiego, któremu ledwie jaszcze było wolno potrząsać łachmanami.

Hrabina do domu wróciwszy, tak była tem uszczęśliwiona, co dotąd uczyniła, że dnia tego postanowiła wsławić się nowym wielkim czynem Prócz tego chciała, by cały dwór wiedział i widział, że gdy jej zięcia nie ma w domu, nikt inny tylko ona jest tu panią wszechwładną.

Po obu bokach bramy, prowadzącej do sadu i ogrodu warzywnego, rosły, jak wiemy, dwie odwieczne topole nadwiślańskie. Już nie raz hrabina mówiła swemu zięciowi, że drzewa te są brzydkie, bo stare. Prócz tego, ilekroć w ich pobliżu się znalazła, utrzymywała, że one są powodem, że w tem miejscu było zawsze duszno, tak dalece, że jej zupełnie powietrza brakowało. Zięć słuchał tych uwag, uśmiechał się, ale nic nie odpowiadał. Teraz ona osądziła, że najlepiej zrobi, jeżeli te drzewa każe natychmiast wyrąbać. Pomówiwszy tedy z córką, która właściwie żadnego w tej sprawie zdania nie objawiła, kazała przywołać urzędnika i temu stanowczo zapowiedziała, że do wieczora mają być obie topole ścięte, bo ona tak chce. Urzędnik sądząc w dobrej wierze, że rozkaz hrabiny następuje po jej poprzedniem porozmieniu się z panem Milińskim, jakkolwiek bardzo niechętnie, poszedł po siekierników, i tylko to go zastanawiało, że chlebodawca odjeżdżając, nic mu o tem sam nie wspominał.

Dzieci usłyszawszy co nastąpiło, zaczęły płakać, tak samo Antosia i służba żeńska. Hrabina krzyknąwszy: cicho! stanęła na ganku, aby być świadkiem wielkiego dzieła. Stangret i fornale okazali się we drzwiach stajen z minami zafrasowanemi, bo żałowali starych drzew, jak starych przyjaciół. Antosia nie mogąc pogodzić się z myślą, że już wkrótce nastąpi tu taki wandalizm, postanowiła chwycicić się w ostateczności, mianowicie zaapelować do energji pana Bielskiego, a wiedząc że on o tej godzinie łowił zawsze ryby w jeziorze, pobiegła go tam szukać.

Zastała go leżącego na brzegu, z wędką w ręku, a okiem utkwionym w czerwony spławek, który dnia tego nie chciał się jakoś poruszać.

— Wujaszku! Chodź! Ratuj na litość boską! — krzyknęła głosem urywanym, chwytając powietrze.

— Co się stało? — zawołał i mimo lat sześćdziesięciu i sporego brzucha, zerwał się na równe nogi.

— Mama kazała zrębać obie te topole, co przed sadem rosną.

— Czy do reszty oszalała ta warjatka?

— Chodź wujaszku, chodź prędko, żeby nie było za późno.

— Dam ja jej, dam, już ja jej wyrębię!

To powiedziawszy, jak kula potoczył się ku dworowi. Antosia z przyzwyczajenia, nazywała go wujaszkiem, dzieci bowiem, które on do tego stopnia kochał, że nietylko godzinami trzymał je sobie na kolanach, lecz nawet pozwolił im się za wąsy szarpać, nie mówiły mu nigdy „dziadziu“, lecz „wujaszku“, co mu prawdziwą przyjemność sprawiało, gdyż jak powiadał, robiło go to młodszym w jego własnem przekonaniu.

Przed ogrodem stanął właśnie w chwili, gdy siekiernicy nadeszli od strony przeciwnej.

— A wy tu czego chcecie, psubraty?—krzyknął.

Chłopi zatrzymali się nie wiedząc co odpowiedzieć. Urzędnik za nimi postępujący uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Kazałam im te obrzydliwe drzewa wyrębać — odpowiedziała hrabina, poczem do chłopów się zwróciwszy dodała. — Bierzcie się!

— Ani mi się ruszać, psubraty! bo łby porozbijam! — Potem na hrabinę patrząc, która juz z gniewu jak piwonia była czerwona, zapytał: — I za co to moja mościa dobrodziejka taka nie łaskawa na te biedne drzewa?

— Bo widok zasłaniają i powietrza tu brakuje.

— A jechał że cię sęk moja mościa dobrodziejko z takim konceptem! — zawołał. — Powietrza brakuje! A wszak ci tu w koło tyle powietrza, że można się w niem nawet utopić, a komu go zamało, ten ma dzięki Bogu wody całe jezioro. Idźcie ludzie do swojej roboty! — dodał siekiernikom ręką drogę pokazując.

— Stać! i robić co każę, bo ja tu pani!—zawołała hrabina.

— Słuchać i iść, bo ja każę! — huknął pan Bielski. Potem rzekł do niej:—Damy panują w salonach, a my na dworze.

— To impertynencja! Arogancja! Ach! ach! ach! Boże! wody! — krzyknęła hrabina, padając szczęśliwie na fotel, który stał na ganku.

— Znowu spazmy... Jechał że cię sęk z temi komedjami! — mruknął szlachcic i krokiem wolnym poszedł za urzędnikiem, by mu coś na ucho powiedzieć.

Tymczasem przestraszona Antosia przyniosła szlankę zimnej wody, ocet i wodę kolońską. Gdy matka wodę wypiła i wodą kolońską skronie sobie natarła, podniosła się przy pomocy Antosi i służącej i jęcząc: — „Boże! Boże! taka zniewaga w domu mojej córki!“ poszła do pokoju pani Eleonory, która od południa w łóżku leżała.

Z początku były tam płacze. narzekania i dalszy ciąg spazmów, wszelako powoli ukoiła się boleść gwałtowna, co gdy nastąpiło, hrabina rzekła spokojniej wprawdzie, za to tem obojętniej:

— Prócz ciebie, moja Eluniu najdroższa! wszyscy tu mnie nienawidzą i wszyscy przeciw mnie spiskują. Ja tu jestem niczem, istotą bez woli, która mimo iż ci życie dała, najmniejszą nawet drobnostką nie może sama dysponować!... I nietylko mężczyźniska mnie maltretują! Nawet ta Antoszka z tymi brutalami przeciw mnie się łączy. Niedawno przyszła z nimi aż na górę mi urągać, dziś ręczę, nikt inny tylko ona sprowadziła tego brutala, chłopa, tego woła podolskiego, żeby mnie bezcześcił w obecności tylu ludzi i sług wszystkich! O! tom sobie pod sercem jaszczurkę wygrzała!... Wydaj na świat, wśród boleści, o których tylko my mamy wyobrażenie, wychowaj, traw noce bezsenne, postaraj się dla niej o majątek, a potem za to wszystko, ona ci zapłaci niewdzięcznością!... O! niedaremnie tak mnie od niej coś zawsze odtrącało! Za to gdy umrę, duch mój nie przestanie jej ścigać. Ty jedna Eluńciu, jesteś moja córką moją jedynaczką, moją pociechą, ale niestety przez zbytnią miłość i uległość dla męża, do tego stopnia wyzułaś się z wszelkiej woli, że choćbyś teraz nawet chciała, jużbyś mnie obronić nie potrafiła! O! biedne my obie, bardzo biedne!

Tu łzy nowe, gorące i obfite nie pozwoliły jej dalej mówić.

XI.

Od przyjazdu pana Bielskiego do Trzcińca, zatem od trzech tygodni, w przekonaniu jego dzień najnieznośniejszy i najbardziej feralny w roku nazywał się piątek. I nie tylko wielki piątek, poświę-

cony śmierci Chrystusa, był dla jego duszy tak bolesny; dla niego miał teraz równe znaczenie każdy piątek bez wyjątku, ponieważ co piątek musiał umartwiać się i pościć!

Pan Bielski był dobrym katolikiem, do kościoła chodził, księży szanował, w obronie swojej wiary gotów był nawet życie ofiarować, lecz z tem wszystkiem był wielkim nieprzyjacielem postów, które nazywał wymysłem nichygienicznym. Dosyć miał zmartwienia, gdy u siebie, na wsi, dla przykładu, i aby sługom zgorszenia nie dawać, pościł trzy razy do roku: na wigilję, popielec i wielki piątek. Zawsze wtedy był w złym humorze i pół dnia przestękał. Co do innych postów, o tych w swojej przytomności nie pozwalał nawet wspomnieć. Jakież więc było jego zmartwienie, gdy do Wielkopolski na dłuższy czas przyjechawszy, usłyszał, że tu tak samo jak lud cała szlachta pości wszystkie piątki, wielu z nich także soboty, a przez cały wielki post trzy dni w tygodniu. W pierwszej chwili mimowoli za brzuch się chwycił, wszelako powoli ochłonął z przerażenia, zwłaszcza gdy usłyszał, że jego siostrzeniec nie należy do wielkich rygorystów, i pości tylko w piątek. No, raz w tygodniu — w duchu sobie powiedział — człowiek może to jeszcze złożyć Panu Bogu na ofiarę, i na zmazanie grzechów swojego żywota, ale więcej, ty sam Boże to wiesz, nie byłbym w stanie wytrzymać.

Kto ryby lubił, mógł w dzień postny przynajmniej na nich używać. Jeżeli gdzie to w Trzcińcu było ich podostatkiem i w przednich gatunkach; ale pan Bielski nie był, jak powiedział, amatorem białego mięsa. Dla tego to nie lubił ryb, cielęciny, drobiu i jasnych blondynek. Gdy raz ten jego koncept zrobił gdzieś furorę, on sam tak się do niego przywiązał, że potem ciągle go powtarzał.

Dwa piątki przeżył jakoś szczczęśliwie i nie położył się do łóżka; dnia następnego przypadał nowy piątek. Dotąd poszło wszystko dobrze, lecz co jutro będzie? Do czasu dzban wodę nosi — co się przewlecze nie uciecze — i wiele innych przysłowiów, z których każde możnaby łatwo zastosować do położenia, w jakiem się się znajdował snuło mu się po głowie. Myśl, że jutro miał pościć, dreszczem go przejmowała, bo czyż persona, jak jego, której Bóg rozmiarów nie poskąpił, mogła zadowolić się cieniutką kawuńcią niemiecką, przez którą, gdy się ją naleje, widać kwiatek na dnie filiżanki malowany, zabieloną zupę, faszerowanemi jajami, ziemniakami i legominą?... Dobre to może dla chorych, ale dla niego!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POGRZEB W LESIE

(z Jarosława Vrchlickeho.)

Zahuczały stare sosny
Na skalistej dzikiej górze,
U zdrojowisk tajemniczy
Dreszcz pochylił leśne róże.

Wykopali cyganowi
Grób, wsunięty w głazów rzędy,
Wzwyż, na ślizkich skał krawędzie,
Głóg wysyła wiotkie pędy.

A nad rowem jakiś cygan
Dziwne słowa szepcze z cicha,
Że jest pełna gorzkiej klątwy
Ich tułaczki dola licha

A ta dziwa czarnobrewa
Rzuca w trumnę róży kwiecie:
„Śpij mój stary, odpoczywaj,
Natuławszy się po świecie!“

Zaś najstarszy wdzięczną skrzypcę
Przy cygańskiej piersi mieści:
„Ten nam bracia, za żywota
Wojewodził lat trzydzieści.“

Jego wzór — to orzeł w locie
Zapatrzony w dno przepaści;
Jego pieśni — wonie lasów,
Pełne słów o starej włości

„Jego myśl — granitna skała.
Zwiędłe serce — złota lira;
Dziś pogrzebcie go, zaś jutro
Zapomniecie prowodyra!“

Zakopali — zasypali;
Tylko sosny nad nim łkały,
Gdy cyganów krok lękliwy
Płynął z szmerem ech przez skały.

* * *

W lesie śmiech, dziewczęce psoty,
Krzyk a pląs a piosnek dźwięki —
Któż bo wie, że cygan leży
Pod kamieniem u studzienki?..

Wacław Lieder.

HENRYK SZCZERBA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

WALERJĘ SOLECKĄ

odznaczona zaszczytną wzmianką na konkursie „Kurjera Warszawskiego.“

(Ciąg dalszy.)

— Jutro o piątej będę sama, jeśli firanki salonu zobaczysz pan zapuszczone!

— Je vous vois, je vous amai, dit le poète.

— Akcje banku węgierskiego spadły!...

— Emo ubóstwiam cię!...

Nagle muzyka milknie i odrazu wszystkie wirujące pary wstrzymały się w biegu,. kobiety tracąc równowagę przychylają się w pół na ramionach mężczyzn, niedokończone rozmowy urywają się nagle, lub kończą nic nieznaczącą gamą śmiechu, szelest poruszanych wachlarzy zdwaja się.

Baron Otto, doczekawszy się nareszcie chwili, w której mógł przejść przez salę i odszukać zięcia, zbliżył się do obu przyjaciół ukrytych za klombem kwiatów.

— Mój zięciu! czekam cię od godziny! zapomniałeś chyba o ważnej sprawie, którą omówić miałeś z bankiem X; minister pytał o ciebie... źle dziś korzystarz z czasu kochany Henryku. — Z temi słowami baron ujął Szczerbę pod ramię i uprowadził przez tłum zapełniający salę. Liczko powlókł się za nim czując dopiero teraz znużenie i przykry ból w piersiach, dokuczliwszy z każdą chwilą.

Gdy przechodzili koło małego budoaru Henryk zatrzymał się nagle — przed ogromnem zwierciadłem stała jego żona, biała jak posąg na tle gorącem pokoju, z głową zwróconą wgłąb, tak, że dostrzegł zaledwie niewyraźnie jej

profil — książę Oskar zapinał perłowy naszyjnik na śnieżnej szyi Emy i szeptał jej coś do ucha; Ema uderzyła go z lekka wachlarzem z piór w policzek i roześmiali się głośno oboje

Henryk chciał wejść tam.

— Chodź chodź! — rzekł baron — ot to dzieciństwo... flirtują.. bankier cię czeka, powiedział, że najdalej za pół godziny odjeżdża z balu.. ten Oskar ma wpływy, niegłupi chłopiec... i świetną ma parantelę... spokrewniony z rodziną panującą. I pociągnął ze sobą zięcia i zmięszali się obaj z tłumem barwnym i znikli w powodzi sukni powłoczystych, fraków, mundurów i ugalowanej służby, roznoszącej chłodniki.

Michał opuścił sale balowe, wyszedł z wolna na schody, niezmiernie znużony, położył się na sofie w gabinecie Henryka. Z dala dochodziła go wrzawa głosów, śmiechów, tony muzyki, gorąco jakieś przejmowało go całego, krew biła w skroniach to znowu dreszcz wstrząsał jego ciałem. Ciążące powieki opadły i zdawało mu się, że ta wrzawa, to szum oceanu, który go niesie, na spienionej fali on leży na wznak z rozkrzyżowanemi rękoma, i patrzy wciąż na wschód—rychło błysną wybrzeża! Ale ta muzyka, szmer kroków i głosów dochodzących z pewnej odległości, przez wiązania sufitu i podłogi, szczególniej go męczy; chwilami widzi z przestrachem wyciągające się ku niemu z ciemności ramiona obnażone kobiet ich biusta ściśnięte kolorowym lśniącym pancerzem z atłasu nachylają się ku niemu, śmiech ich perlisty przeszywa mu uszy i mózg napełnia hałasem... dusi go to widziadło jak zmora! Usiłuje kilka powstać razy, aby przerwać ten dziwny stan, lecz nie może się ruszyć, wszystkie członki ciężą jak ołów i pozostać musi nieruchomy, w ciemności otaczającej go, z rozpaloną głową i spiekłemi usty.

A wrzawa ta trwa bezustannie, coraz przykrzejsza, tony fletu dolatują jego uszu jak przenikliwy pisk, wiolonczela żałośnie jęczy głusząc bezustanny stuk kroków wybijających takt na podłodze.. nagle zmora zmienia się, zapada się wszystko dokoła, lecz wrzawa trwa bezustannie i Liczko widzi z przerażeniem ogromną tarantullę zbliżającą się z wolna Cienkie nogi strasznego owadu wyciągają się ku niemu — daremnie chce uciekać, krzycząc, tułów potworu wydłuża się, olbrzymi owad zawisa nad nim w powietrzu z sykiem i z pomiędzy długich cienkich pajęczych nóg wysuwa głowę kobiety uśmiechniętą...

Z otwartemi usty w strasznej męczarni gorączki, biedny Liczko leżał wyciągnięty straciwszy już władzę myślenia i nie wiedząc czy to udręczenie skończy się kiedy?

W dolnych salach tańczą wciąż, coraz weselej, namiętniej — wiele osób opuściło już bal, pozostali tylko gracze przy zielonych stolikach i namiętni tancerze lubiący taniec dla niego samego

Henryk z bankierem schronili się do małej okrągłej salki przytykającej do ogrodu, która służyła za cieplarnię. Ogołocona dziś ze swego bogactwa wyglądała posępnie; palmy w dużych wazonach pochylały się zgięte, wyciągając chore zżółkłe liście, krzewy Eriki zapełniały jeden kąt a kolczaste kaktusy sterczały w półcieniu, zwieszając wąsate liście i mięsiste czerwone kielichy kwiatów dokoła wysokiej klatki druciannej, w której mieszkały trzy małpy.

Obaj panowie przy małym stoliczku pili czarną kawę. Także złe wiadomości odebrałem dziś ze Szląska — ciągnął dalej bankier — kopalnia węgla zalana wodą, to narazić nas może na znaczne straty. Inżynier oblicza ją do wysokości trzech kroć, zważywszy i to że obecnie pokazało się, że w południowej stronie pokłady się kończą, co obniża ogólną jej wartość...

Ależ w takim razie jesteśmy zrujnowani — przerwał Szczerba niecierpliwie

Zobaczymy odrzekł bankier spokojnie rzecz w tem cała, aby zręcznie przeprowadzić operację i wyzyskać zwłaszcza drobnych akcjonarjuszów. Woda ta, to także kapitał mówił z uśmiechem — trzeba tylko umieć łowić ryby w mętnej wodzie. Oto patrz pan! — rzekł wyciągając rękę w kierunku klatki. W klatce od kilku minut wrzała zacięta walka o jabłko, które Henryk wrzucił przed chwilą z koszyka stojącego w pobliżu. Pisk, łomot, stuk, rozlegały się po pustej salce cieplarnianej a od spodu klatki wzniosła się kurzawa. Małpy uderzały się przedniemi łapami, wyszczerzały ostre zęby i pazury, to znowu wszystkie trzy zbite w jeden kłębek zwijały się na dnie klatki lub zawieszone na jednej z deszczułek, ustawionych w poprzek biły się rękami drapały i gryzły. Walka byłaby się nie rychło ukończyła w obec równych prawie sił przeciwników, gdy w tem jedna z małpek wpadłszy po rozum do głowy, chwyciła małe wiaderko z wodą stojące w kącie klatki i niespodzianie chlusnęła strumieniem wody z góry na dwie drugie, bijące się o jabłko. Ta nagła zimna kąpiel sprowadziła pożądany efekt; obie małpy wystraszone wodą, króra obryzgała im oczy, straciły męstwo... wypuściły łup pożądany a wtedy przemyślna, chytra małpka z piskiem naśladującym chichot rzuciła się na jabłko schwyciła je i jednym susem skoczywszy na najwyższą deseczkę, trzymając w prawej ręce jabłko, chrupała je głośno, robiąc pocieszne grymasy i spoglądając złośliwie na oba zwyciężone zwierzęta swego rodzaju.

Bankier zanosił się od śmiechu — To mi spryt! to mi rozum! — zawołał — ja zawsze, proszę pana uczę się filozofii od zwierząt! Patrz pan — to się także nazywa łowić ryby w mętnej wodzie!

IX.

Dwa dni pobytu Michała przedłużały się w brew jego woli — gabinet Szczerby zmieniono w pokój chorego, a w półcieniu tam panującym przy zapuszczonych storach i firankach leżała na białych poduszkach siwiająca głowa Liczki, rozpalona gorączką, bezwładna i nieruchoma. Choroba, którą przywiózł z podróży rozwinęła się w gwałtowne zapalenie płuc a komplikacya słabości, tem była trudniejszą do zwalczenia, że towarzyszyła jej silna nerwowa gorączka. Dzień jeszcze upływał spokojniej, ale wraz ze zmrokiem, chory wpadał w malignę, mówił pospiesznie, szybko używając słów najrozmaitszych języków, rozmawiał z ludźmi, których nazywał po imieniu, łajał robotników bez względu na surowy zakaz lekarzy, zabraniających mu mówić. To znowu układał najszaleńsze plany i projekta, sprzeczał się, gniewał i zrywał z łóżka Lekarze oczekiwali krizis a wyczerpane siły i wątły organizm chorego, zniszczony pracą fizyczną i ciągłem natężeniem mózgu, niewiele pozostawiały nadziei.

Chory w końcu stracił głos, nie mógł już mówić, usta tylko poruszały się konwulsyjnie, jakby walcząc z bezwładnością, która je ogarniała.

Henryk szczerze zmartwiony chorobą przyjaciela, nie mógł jednak czuwać przy jego łożu — sesje parlamentarne w pełnym biegu jak i osobiste sprawy naglące i ważne,

absorbowały jego czas, zmuszały nawet do nocnej pracy.

Ema czasem między wizytą jedną a drugą wchodziła do pokoju chorego, przypatrywała się jego wyniszczonej twarzy, ustom spiekłym, zczerniałym od gorączki, otwartym oczom, które jej nie poznawały ani nikogo i uciekała z domu, co od czasu, jak weń weszła choroba, stał się ponury i straszył ją, złemi przeczuciami, którym oprzeć się nie umiały słabe jej nerwy. Potem zdjęta litością... uczuciem, raczej, którego nie umiała nazwać, a które przyciągało ją wbrew jej rozpieszczonym nawyknieniem i słabym nerwom, do łoża chorego, przepędzała po kilka godzin z rzędu w tym smutnym, wpółciemnym pokoju, przesiąkniętym niemiłą wonią lekarstw i gorączki. Podawała choremu Liczce lekarstwa, postanowiła walczyć zacięcie z chorobą i śmiercią, która już rozpostarła się na zapadłych oczach, żółkniejących policzkach Michała. Szóstego dnia Liczko odzyskał na chwilę przytomność i spotkawszy się ze wzrokiem kobiety, uśmiechnął się z niewysłowionym wyrazem smutku i wdzięczności. — Ach! jaka pani dobra! — wyszeptał i znowu zamknął oczy.

W pół godziny później zapytał o Henryka — chciał z nim mówić.

Gdy zostali sami, Liczko z wysileniem wziął rękę przyjaciela w wilgotne swe dłonie i prosił, by się nachylił ku niemu, bo mówić mógł tylko szeptem.

Źle ze mną? Co? nieprawdaż? może już i po mnie jak sądzisz? — pytał.

Henryk zapewnił go o najlepszych rezultatach djagnozy lekarskiej.

Na wszelki przypadek — rzekł Liczko — weź pieniądze do siebie — są w skórzanej czarnej torbie w kuferku, obok znajdziesz pakiet związany sznurkiem, to są plany szkoły; spisałem wszystko najdokładniej i podział kursów stopniowy rozwój nauczania i program lat następnych przy pomyślnym rozwoju.... rysunek budynku... jeżeliby mnie nie stało,.. ty weź to na siebie... wiem... zrobisz wszystko jakby ja sam, pieniądze są w kuferku... znajdziesz obok pakiet papierów, to plany! — powtórzył urywanym głosem, z właściwą chorym manją powracania bezustannie do tych samych przedmiotów i wyrażeń.

Może chcesz spisać akt notarjalny? — zapytał Henryk.

Akt notarjalny?.. nie, nie sądzę, aby to było potrzebne — odrzekł Liczko — która teraz godzina?

Około jedenastej. —

Noc teraz? co? — zapytał znowu chory.

A tak, wieczór

Akt nostarjalny mówisz? namyślę się jeszcze... chyba jutro .. czy sądzisz, że to potrzebne, bo mojem zdaniem, szkodaby opłacać się rządowi, w danym razie... umniejszać tem kapitał...

Wszystko to dla formy — odpowiedział Henryk — widząc dwie grube łzy, które zatrzymały się w dołkach pod oczyma na wychudłej twarzy Michała — przecież wyzdrowiejesz, oto masz się już bez porównania lepiej.

Tak i mnie się zdaje — odrzekł Liczko — w każdym razie proszę cię, te papiery weź do siebie pod klucz! Ty nie pojmujesz, co to jest manja, takiego jak ja skąpca... gdy wpadam w gorączkę, albo zasypiam, zdaje mi się, że mnie okradają.

No, i cóż tam na radzie? mieliście obrabiać kwestją nowych podatków, wspominałeś mi o tem, jeśli się nie mylę? — zapytał, podczas gdy Henryk umieszczał pakiety w szufladzie.

A tak — odrzekł Szczerba — zacięta była walka... ja tym razem złączyłem się z lewicą.

Brawo! wybornie!... przemawiałeś więc przeciw?... szepnął Liczko, usiłując usiąść na łóżku, lecz zabrakło mu sił i zsunął się bezwładnie na poduszki. Na zżółkłe policzki wystąpiły znowu dwie ceglaste, czerwone plamy; oczy zapadłe a nos wychudzony nadzwyczajnie i ścieniony z rozdętemi czarnemi nozdrzami, te piersi poruszające się z gwałtownem wysileniem... ręce, które przesuwały niespokojnie po kołdrze, z ruchem, jakby palcami coś chwytały — wszystkie te oznaki zdradzające bliskość śmierci, robiły niezmiernie przykre wrażenie na Henryku.

Miał on w tym czasie wiele zmartwień, niepokojów i zawikłanych interesów grożących podkopaniem egzystencji całego gmachu przyszłości wybudowanego tak świetnie w ambitnej głowie tego człowieka—a tam biedny Liczko, którego godziny zdawały się być policzone i który wpatrywał się weń wzrokiem jakby błagającym o życie rozprężał mu nerwy do reszty.

Smutno było w około niego... z pokojów Emy dochodził żałosny głos płaczącego dziecka, to mały Olko grymasił, płakał może dlatego, że nikt się z nim nie bawił... wiatr świstał na dworze a deszcz bił w szyby... jakieś bolesne uczucie ściskało serce Henryka, i ze ściągniętemi brwiami patrzył na zmienioną twarz, wychudłe ciało przyjaciela i tę biedną głowę siwą, nieruchomą, z której tyle wynurzyło się myśli, projektów, pragnień najbezinteresowniejszych i genjalnych pomysłów. To ciało drgające przed kilku dniami jeszcze życiem, ogniem wewnętrznym, siłą i energją, a dziś do jakiejże przyprowadzone bezwładności, zniszczenia, ruiny?

I nacóż się zdały walka, duma, pragnienia, co nurtują pierś człowieka, na cóż się zdały wszelkie wysilenia i trudy, którymi się zdobywa każdą drobną nawet rzecz w życiu, jeżeli to wszystko jedna gasi sekunda... jakbyś zdmuchnął świecę.

— To żona twoja śpiewa — rzekł Liczko szeptem podnosząc powieki, — jaka ona dobra i piękna... twoja żona! Powiedz, proś ją, niechaj tu przyjdzie... niech śpiewa bliżej, bliżej!

— Ależ to nikt nie śpiewa, zdaje ci się... to Olko nasz płacze — odpowiedział Henryk.

— Masz syna? nie wiedziałem .. pokaż mi go! proszę—rzekł chory przerywanym głosem. Henryk chciał spełnić to żądanie ale oczy Michała zamknęły się a z piersi odezwało się głuche, szorstkie, przykre charczenie... zapadł znowu w gorączkę...

Tejże nocy w chwili, gdy lekarz, czuwający przy nim, zdrzemnął, Liczko życie zakończył.

Ema kazała ustawić katafalk w dolnej sali i otoczyć ciało zmarłego bukietami jasnymi azalii, róż i fjołków, które przed tygodniem roztaczały woń i wesołość w sali balowej pełnej śmiechu, gwaru i bawiących się ludzi, woń piżma unosiła się jeszcze po kątach i ulatniała w powietrzu za poruszeniem firanek lub mebli.

Biedny Liczko, który pędził żywot tak twardy i nigdy nie ofiarował bukiecika fiołków żadnej kobiecie nawet wtedy, kiedy już był bogatym, miał teraz z ręki kobiety całe wzgórze różowe, białe i liljowe, cały las róż i azalii, kamelii i bzu, piętrzących się w okrągłych wyniosłościach mających puszystość aksamitu, różowość żywego ciała, lśniący połysk atłasów i srebrzyste odblaski. A na wysokości tego posłania z kwiatów leżało rozciągnięte

ciało Liczki, chude, drobne w swem czarnem ubraniu z rękami złożonemi na piersiach i wciśniętemi w białe rękawiczki, jak dwa kawałki zeschłego drzewa. Nad tem wszystkiem królowała twarz pergaminowo biała z zapadłemi oczyma i wyniosłem czołem, okolonem siwiejącemi włosami, usta rozciągnięte dziwnym niby uśmiechem w półotwarte przy blasku migotliwym świec zdawały się drzeć, jakby za chwilę wyrzucić miały gorący potok słów pełnych entuzjazmu i wiary aż do zaślepienia.

X.

Dom Szezerbów odkąd śmierć przestąpiła jego progi posmutniał, oblókł się cały barwą posępną, po pogrzebie gdy zabrano ciało Liczki opustoszał jeszcze bardziej... w ogródku na czerniejącym od dymu i wilgoci śniegu, zdawały się jeszcze pozostawać niezatarte głębokie ślady ludzi obsługujących trupa, dolne sale przesiąkły jakby oddechem śmierci, tą wonią przykrą, mdłą, chłodną, którą wzmacnia jeszcze podniesiona grozą wypadku wyobraźnia... zapach ten zdawał się włóczyć po całym domu. Ema odczuwała go nawet w swej sypialni, sukniach i bieliźnie przesyconej perfumami fiołków i werbeny. Kwiaty więdły, opuszczały w dół liście i barwne korony, okryły się czarnemi żółtemi plamami, jakby zarażone i konające od tego widoku trupa, na któr go trzy doby patrzyły bezustannie wśród ciszy i samotności przy blasku świec.

Ema teraz dnie całe spędzała poza domem: na wizytach, w magazynach... a gdy już wyczerpała zapas miejsc, które mogła odwiedzać, kazała się obwozić po mieście, byle tylko jak najpóźniej wrócić do domu, wieczory spędzała na rautach lub w teatrze.

Henryk zajęty ratowaniem egzystencji materjalnej, zagrożonej nie na żarty, opuszczał nawet sesje parlamentarne, zamęczał się wydobywaniem pieniędzy na połatanie jakie takie interesów i układami z wierzycielami, coraz natarczywszymi z dniem każdym. Wspólnik jego bankier, oddany zupełnie owej operacji finansowej z kopalnia węgla, której akcje spadły do minimum, a które ajenci jego wykupywali, zamknął Szczerbie kredyt w skutek czego stan interesów pogorszył się jeszcze, wikłał i gmatwał najfatalniej. Szczerba postanowił jeszcze spróbować łaski fortuny na giełdzie.

Spokój jego, ten piękny, niczem niewzruszony spokój, oblekający go w taką powagę, budzący ufność, minął bezpowrotnie, ale zewnętrznie nie zdradzało się to jeszcze dla zwykłych oczu, chyba ściągnięciem brwi, gniewnem niespokojnem spojrzeniem. Oboje nie wracali teraz do domu nawet na objad, jadali w mieście.

Olek biegał po pustych pokojach sam jeden, bo służba w nieobecności państwa urządzała sjesty i narady nad tem, co się działo. Chłopczyna, którego długie blond włosy spadały na ramiona zapylone i nieuczesane nawet, rozrzucał po wszystkich pokojach swoje zabawki mając teraz za jedynych towarzyszy: drewniane koniki, bębenki i gadających arlekinów z gutaperchy, którzy płakali gdy on płakał. Dzieciak słuchał żałośnych tonów wydobywających się za pociśnięciem sprężyny, wtórował temu jękowi i przestawał płakać, nadsłuchując w razie gdy sprężynka źle pociśnięta nie wywołała okrzyku z ust lalki.. Nieraz płacząc tak i śmiejąc się na przemian biedny malec, gdy nikt nie przybył na jego rozpaczliwe wołanie, zasypiał wreszcie znużony w jakim kąciku z główką opartą o ścianę i z swym arlekinem przyciśniętym do piersi, oblanym łzami, który też w zamian pozostawiał niebieskie, czerwone i zielone farby swego ciała i ubrania na twarzy chłopca.

Meble, firanki, zwierciadła, posążki pokrywały się leciutką warstwą pyłu, którego służba już nie zmiatała, w salonie wisiał uszkodzony żyrandol, w sieni odpadł kawałek tynku, przez stłuczone szyby wiatr świstał i nikt na to nie zważał. Przez wszystkie szpary zaglądała ruina w dom ten, błyszczący jeszcze całym nowożytnym komfortem.

Henryk powracał do domu późno i jeszcze siedział kilka godzin, nieraz aż do świtu nad rachunkami, które gmatwały się coraz bardziej nowemi a niefortunnemi kombinacjami. Przeszło to prawie w rodzaj manji, to ciągłe układanie cyfr w najrozmaitsze sposoby i tworzenie kolosalnych fortun na papierze, zastanowiwszy się głębiej, odkrywał dopiero luki i tamy nie do przebycia. Układał więc nowe kolumny cyfr, mnożył, dzielił dodawał, zawsze z tym samym ostatecznym rezultatem, daremnie trudząc mózg w tej syzyfowej pracy.

Tymczasem pieniądze wyczerpywały się coraz bardziej w miarę jak rosła ich potrzeba w skutek nagromadzonych interesów, z drugiej strony operacja kopalniana nie wróżyła nic więcej, oprócz zawodu i kompletnego na tym punkcie bankructwa. Brak pieniędzy paraliżował wszystkie obroty i najwyborniejsze pomysły.

Doszło do tego, że sprzedano dworek starej Szczerbowej, która zresztą rozstała się z nim bez żalu i zajmowała teraz malutkie mieszkanko, wynajęte za kilkadziesiąt reńskich. Ema z swej strony zastawiała i sprzedawała klejnoty, aby wystarczyć na codzienne fantazje, dla których kasa Henryka obecnie się zamknęła.

Szczerba zdecydował się wreszcie prosić o pożyczkę teścia. Baron na taką propozycję wydął pogardliwie usta a po chwili roześmiał się przykrym śmiechem.

— Sacré Dieu! To jednak rzecz pyszna — rzekł — bo ja właśnie chciałem cię także prosić o pieniądze. Wiesz zapewnie, że Kazio doszedł do pełnoletności; żeni się. Trzeba go wyekwipować, oddać część majątku. Dobra moje dość porządnie są obdłużone — chciałem poratować się u ciebie, aby oczyścić hipotekę; tem bardziej, że jak wiesz, winien jestem hrabiemu, jeszcze od czasu jak założyliśmy ten dziennik, popierający nasze tendencje i interesa a zarazem twoją naonczas kandydaturę. Liczyłem obecnie z całem zaufaniem na ciebie tembardziej, że jeżeli pamiętasz mój zięciu zobowiązałeś się wypłacić mi sumę, którą deponowałem wówczas w twojem imieniu na ten interes dziennika. Dotychczas nie otrzymałem ani grosza, jeżeli zechcesz sobie przypomnieć! Jesteś więc moim dłużnikiem kochany Henryku — dodał zacierając ręce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kałamarz jakich mało.

Ze wspomień znakomitego francuzkiego romansopisarza, Edmunda Goncourta, „Figaro“ drukuje jeden urywek, który ze względu na osobistość autora i jako ciekawą próbkę literatury i obyczajów japońskich, podajemy w dosłownym przekładzie.

„Przed wielu laty — pisze Goncourt — wpadłem do magazynu Binga (w Paryżu) w chwili właśnie, gdy wypakowywano transport z Japonii. Pomiędzy drobnemi przedmio-

tami, ustawionemi już na lakowej tacce, znajdował się kieszonkowy kałamarzyk, nazywany w Japonii yatate Składał się on z futerału, zawierającego pędzelek borsuczy do pisania i z małego zamkniętego wiaderka z gąbką z szerści królika, przesiąkniętą tuszem. Cacko to, wyrobione z dwóch kawałków bambusu, przedstawiało bawiące się dzieci. Zapaliłem się do kałamarzyka i nabyłem go za cenę, jaką podobało się Bingowi nałożyć na swój towar Odtąd był mi drogim, choć nie domyślałem się nawet, jak wielką jest osobliwością. Aż dopiero pewnego dnia, gdym był w Japonii, Hayashi (naczelnik akademii), zwiedzając moją kolekcję, wyciągnął z jednej szuflady ulubiony mój kałamarzyk. Zauważyłem, że przytem palce jego drżały, jakby dotykały się świętej jakiej relikwii.

— Czy wiesz pan — mówił Japończyk, a w głosie jego przebijało się wielkie wzruszenie — czy wiesz, że posiadasz przedmiot ciekawy.. bardzo ciekawy, wyrobiony przez jednego z 47 roninów. I wytłómaczył mi napis na dnie wiaderka. Były tam wyryte następujące słowa: „Rzeźbione przez Otaka Noboukiego, poddanego ks. Akao, w r. 1683, pod koniec wiosny.“

Tak, istotnie, ten mały kałamarzyk jest dziełem rąk jednego z wasalów ks. Akao, jednego z owych 47 bohaterów, którzy dobrowolnie skazali się na śmierć, aby pomścić pana swego i władcę, a których pamięć stała się rodzajem religji w Japonii. Ciekawym w historji ludzkości jest ten akt poświęcenia, dokonany w świecie feodalnym przez całą rodzinę wasalów, który od dwóch wieków Japonia upamiętniła w teatrze, romansie i na płótnie.

Rzecz miała się tak:

Pewien daimio, nazwiskiem Takumi-no-Kami, niosąc pismo Mikada na dwór w Yedo, został śmiertelnie obrażony przez Kotsuka, wielkiego dostojnika shogunu. Nikt nie ma prawa wyciągnąć miecza z pochwy w obrębie pałacu królewskiego bez ściągnięcia na siebie kary śmierci i konfiskaty dóbr. Przy pierwszej obrazie Takumi pamiętał o tem, lecz przy drugiej nie potrafił już być panem siebie; rzucił się na swego napastnika i ranił go lekko. Kotsuke zdołał umknąć.

Takumi został skazany na rozpłatanie sobie brzucha. Skonfiskowano pałac jego Ako, rodzinę doprowadzono do nędzy, dworzan i wasalów zdegradowano na roninów, wyrzutków społeczeństwa.

Lecz Kuranosuke, pierwszy doradca daimia i 46 jego samuraisów poprzysięgło pomścić pana. Dopełniwszy tej przysięgi, aby uśpić nieufność Kotsuka, który kazał ich śledzić przez swych szpiegów w Kioto, poszedł każdy do innego miasta w przebraniu jakiegoś rzemieślnika. Kuranosuke jeszcze lepiej potrafił zmylić czujność Kotsuka. Udawał on pijaństwo do tego stopnia, że pewien człowiek z Satsuma, widząc go leżącego w rynsztoku przed herbaciarnią, zawołał: „Oh! nędznik, niegodny miana samuraia, co zamiast pomścić pana swego, tarza się pijany po ulicach!“ I mówiąc to kopał go nogami i plwał mu w twarz.

Wierny sługa posuwał jeszcze dalej swe poświęcenie. Obsypywał obelżywemi słowami żonę swoją i wypędził ją ostentacyjnie z domu, pozostawiając przy sobie tylko szesnastoletniego swego syna.

Oto jak scena ta opisana jest w romansie Japończyka, Tamanega Schunsui:

* * *

— „Oh! nieszczęśliwa ze mnie istota! Jakżeż błogosławione były dni, w których pan mój nie miał mi nic do zarzucenia — woła małżonka Kuranosuke. Przypisuje ona złe obchodzenie się z nią męża rozstrojowi umysłowemu, spowodowanemu śmiercią księcia.

Zaledwie żona zanosząc się od płaczu wyszła z komnaty, Kuranasuke podnosi się bez śladu nieprzytomności w ruchah i z twarzą wyrażającą najwyższe wzruszenie:

— „O Boże! — woła wśród jęków. — Co za wierność! To przechodzi moje siły!

„A mówiąc tak, łzy spływały mu strumieniem po policzkach.

— „To prawdziwy wzór żon. Zamiast czynić mi wyrzuty za to, co może się wydawać wielkiem z mej strony przekroczeniem, ona bierze na siebie moją winę. Natychmiast muszę położyć temu koniec. Nie powinna być świadkiem poniżenia, jakiemu dobrowolnie się poddaję, dla doprowadzenia do skutku moich planów. A i młodsze moje dzieci niech nie wspominają mnie jako zbydlęconego opoja. Muszę ich wszystkich wyprawić z domu. Lecz jak się do tego zabrać?

„Dzielny ten człowiek zmierzył gorączkowemi krokami komnatę; w rozpaczy swej załamywał ręce i zgrzytał zębami. Jakkolwiek był rozumnym i przewidującym, zapomniał, przybierając rolę rozpustnika, iż niepodobna mu będzie walczyć o lepsze z poświęceniem swej żony. Jedyną drogą, jaka mu pozostawała, było dać list rozwodowy i odesłać ją z młodszemi dziećmi do ojca, który zrozumie — pewien był tego prawdziwą przyczynę, dla której on, Kuranosuke, tak działał.

„W chwili tej posłyszał, jak żona mówiła cichutko do dzieci.

— „Nie hałasujcie, jedynie, ojczulek wasz jest chory.

— „Czy to jeszcze ta sama wczorajsza choroba, co to była taka zabawna?

— „Cicho, cicho. Nie należy tak mówić. Wasz biedny ojciec ma wielkie zmartwienie.

„Nieszczęśliwy człowiek pomyślał o obowiązkach swoich względem zmarłego księcia i serce jego opancerzyło się stalą przeciwko wszelkim innym uczuciom. Położył się znowu i zaczął udawać, że drzemie.

„Około południa do pokoju weszła znowu żona jego: uklękła przed nim i czekała aż otworzy oczy. Wówczas rzekła:

— „Czcigodny mężu, kąpiel twoja już jest gotowa.

— Moja kąpiel! zawołał, powstając i porwawszy piszczałkę, zaczął na niej wygrywać dzikie melodje. Po chwili rzucił ją w kąt i zabierał się do wyjścia.

„Żona podjęła z ziemi kapelusz ronina i podając mu go na kolanach, rzekła:

— „Szanowny małżonku, weź to. Masz nieprzyjaciół w okolicy.

„Kuranosuke obrócił się do niej, mówiąc:

— „Dość tego. Za wiele rozprawiasz. Dam ci list rozwodowy, powrócisz z nim do twego ojca. Jednakże, jeśli sobie życzysz pozwolę ci zabrać ze sobą dwoje naszych młodszych dzieci. Służący mój będzie wam towarzyszył.

„Zanim zdołała odpowiedzieć, włożył na głowę kapelusz i wyszedł na ulicę, udając, iż nie może utrzymać się na nogach. Żona patrzyła za nim. Zdawało jej się że przebywa straszny sen.

* * *

Wówczas to Kotsuke (kto popełnił wielki występek, w szeleście łapek mysich dosłuchuje się kroków swego mściciela) zupełnie uspokojony nieprawością życia swego nieprzyjaciela, zwolnił czujność nad nim i rozpuścił część straży, która winna była go pilnować.

Nadeszła wreszcie noc zemsty, noc zimowa (grudzień 1701) z śnieżną zawieją. Spiskowcy odziani w płaszcze białe

w czarne pasy, (aby się mogli poznać wzajemnie), a pod spodem opancerzeni w stalowe koszulki, kierowali się z cicha ku yashki (domowi) człowieka, którego głowę poprzysięgli sobie złożyć na grobie swego pana.

Przesadzają mur. Wybijają młotkami drzwi domu. Zażynają samuraisów Kotsukego, gonią uciekających aż na dach, skąd zrzucają ich na ziemię.

Lecz gdzie Kotsuke? Niema go nigdzie. Stracono już nadzieję odnalezienia go, gdy Kuranosuke, zagłębiając rękę w jego łóżku, spostrzega że prześcieradło jest jeszcze ciepłe. Nie może być daleko. Sondują lancami wszystkie kąty i odszukują go wreszcie — w skrzyni z węglami, rannego już w biodro. Wówczas Kuranosuke klęka przed nim i oddawszy oznaki szacunku, winne temu starcowi, mówi mu:

— Panie, jesteśmy poddani Tokumi-no-kami. Wasza Miłość miała z nim zatarg. Musiał umrzeć, a rodzina jego została zrujnowana. Jako dobrzy i wierni jego słudzy błagamy cię panie, abyś zrobił hara-kiri (rozpłatał sobie brzuch). Pomogę w tem Waszej Miłości, poczem z należnym jej szacunkiem, odciąwszy jej głowę, złożę ją w ofierze na grobie pana mego Takumi.

Ponieważ Katsuke nie chciał zadość uczynić uprzejmej propozycji, Kuranosuke odciął mu głowę małą szablą, która służyła panu jego do rozpłatania sobie brzucha. Wtedy wszyscy 47 roninowie skierowali się ku świątyni Wzgórza Wiosny, gdzie spoczywał Ako, pod trzema warstwami kamieni, nad któremi położona była płyta z takim napisem:

„Tu spoczywa w pokoju, wielki samorai, który za życia cieszył się wysokiem dostojeństwem marszałka dworu wielkiego Mikada i mógł z nim rozmawiać.“

I dopełniwszy w ten sposób ofiary z głowy Katsukego, uważając się już za zmarłych, prosili bonzów, aby ich pochowali i oddali się sami pod sąd.

Skazani na śmierć za radą Hayashi- Daigoku, dowódcy akademików — zapytanego o zdanie przez władzę wykonawczą — rozpłatali sobie brzuch. Pogrzebano ich naokoło grobu pana i groby te do dziś dnia są celem pielgrzymki wiernych.

Taka jest historja legendowa owych 47 ludzi, z których jeden był wykonawcą mojego kałamarzyka. Po objaśnieniach Hayashiego, zapragnąłem poznać rolę, jaką Otako osobiście odgrywał w wyprawie przeciwko Kotsukemu. Po długich poszukiwaniach znalazłem następujące szczegóły w księdze Ippitsu-an:

Otako Nabuki należał do rodziny, będącej dziedzicznymi wasalami książąt Akao. Po nieszczęściu, jakie spadło na dom jego pana, przybył do Yedo, ukrywając w sercu zamiary zemsty. Aby odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia, przebrał się za przekupnia szczotek i wyrobów bambusowych i jako taki umiał wcisnąć się do domu swego nieprzyjaciela. Zaznajomił się ze służbą i od niej to dowiedział się, że 14-ty dzień 12-go miesiąca przeznaczony był na porządki w rezydencji Kira. Służba po całodziennem zmęczeniu spała jak zabita. Korzystając z tego, a obeznawszy się poprzednio z wszystkiemi kątami, Otako wprowadził swoich towarzyszów. Zginął on nocy tej, z ręki jednego z dworzan Kotsukego.

* * *

Od czasu, jakem się dowiedział o bohaterskiej historji twórcy mego kałamarzyka, cacko to nabrało dla mnie podwójnej ceny: nie rozłączam się z niem nigdy, wożąc go wszędzie ze sobą.

Edmund Goncourt.“

Kronika literacka i artystyczna.

Literatura.

Historja Wielkopolski. Towarzystwo historyczne niemieckie ogłosiło konkurs na napisanie historji Wielkopolski. Rzecz może być po polsku skreślona, byleby załączono przekład niemiecki. Nagroda wynosi 3,000 marek. O tendencji nie dodano ani słowa, chociaż prawdopodobnie, przy wyznaczaniu nagrody, odegra ona rolę niepoślednią.

Przekłady z polskiego. Listy z Ameryki Sienkiewicza ukazały się w tłómaczeniu w czasopiśmie chorwackiem *Vienac*, p. t.: „Z New-Yorku do San Francisco“. Powiastka M. Bałuckiego. „W szpitalu warjatów“, wyszła w fejletonie gazety zagrzebskiej *Hrvatska*, w przekładzie Stefana Susznika. Tytuł jej po chorwacku brzmi: „U ludnici“.

Towarzystwo czytelni ludowych z pod zaboru pruskiego wydało w pismach nową odezwę i ogłosiło daty bardzo pocieszające. W r. b. rozpowszechniło ono już 20.000 książek i założyło nowych czytelni 96: w Księztwie, Prusach, na Mazurach, w Warmji i w Szlązku Czytelni takich istnieje już blisko tysiąc. W Prusach, zachodnich władza policyjna z pogwałceniem prawa ryczałtowo zabiera całe czytelnie, ale na ich miejsce powstają inne.

P. Stanisław Szczepanowski autor znakomitego studjum „Nędza Galicji“ wygłosił w lwowskim stowarzyszeniu rękodzielników „Skała“ odczyt p. t. „Walka o byt w narodzie polskim“. Z powodów cenzuralnych musiał autor wykład swój uogólnić i używać przykładów z historji obcej. Mimoto wrażenie z wykładu było potężne, każdy bowiem odczuł to, co autor miał na myśli. W wykładzie swym nawoływał p. Szczepanowski do pracy ekonomicznej, tylko dobrobyt bowiem może społeczeństwu polskiemu zapewnić przyszłość. Dźwignią pracy tej powinien być dobrze zrozumiany patzjotyzm. Zarząd „Skały“ postarał się podobno o stenograficzne sprawozdanie z tego wykładu i odda je do druku.

Byli studenci instytutu rolniczo leśnego w Puławach zamierzają wydać własnym nakładem „Botanikę leśną“. Dochód z tego wydawnictwa przeznaczony został na korzyść b. profesora instytutu, Berdaua

— **Adolf Belot** napisał powieść p. „Mélinite“. „Mélinite“ jak wiadomo, materja wybuchowa, oznacza tu charakter kobiety, bohaterki powieści.

Teatr i muzyka.

W teatrze lwowskim wystawiono zeszłego tygodnia slawną operetkę Sullivana „Mikado“. Poprzedziła ją sława i reklama europejska. Jak zwykle bywa, po rzeczach mających olbrzymi rozgłos, spodziewa się więcej, aniżeli jest na nich w istocie, stąd znana z nadzwyczajnych wymagań publiczność lwowska, oczekująca rzeczy niebywałych, znalazła nie jedno operetce do zarzucenia. Jednym libretto jest zanadto banalne i płaskie, drugim koncepta za tłuste, innym muzyka nie wpada w ucho. inni wreszcie prócz oryginalnego tła japońskiego i wystawy olśniewającej nie widzą w „Mikadzie“ żadnych nadzwyczajności. Naszem zdaniem wszyscy mają potrosze racji, jakkolwiek nie można zaprzeczyć, iż muzyka „Mikada“ jest istotnie bardzo charakterystyczną i jedynie ucho publiczności naszej przywykłej do walców Straussowskich i Millökerowskich, nie umiało na czasie zasmakować w zupełnie nowej dla niej muzyce p. Sullivana. Instrumencja nader umiejętna, lekkość i przejrzystość, świeżość wreszcie motywów są zaletami tej muzyki, która też pozyskała uznanie krytyki całej Europy. Wykonanie „Mikada“ na naszej scenie było wcale dobre. Rzecz wystawiona z niezwykłą starannością a pod względem dekoratów, kostjumów i wszelkich akcesorjów, jak na lwowską scenę, z przepychem. Zasługę w tym względzie przypisać należy szczególnie p. Skalskiemu, reżyszerowi lwowskiej operetki, który specjalnie wyjeżdżał do Wiednia, ażeby scenizacji tej operetki w „Theater an der Wien“ się przypatrzeć.

Szczęśliwego przekładu libretta dokonał artysta sceny lwowskiej p. Kiczman, znany już z prac tego rodzaju.

Dyrektorem teatru wiedeńskiego burgu został znakomity artysta dramatyczny i wytrawny reżyszer „teatru niemieckiego“ w Berlinie, dr. August Förster.

Pani Minnie Hauk nadworna śpiewaczka wiedeńska dała koncert 26 b. m. we Lwowie. Pani Hauk była widocznie niegdyś znakomitą śpiewaczką i ma zalety wybornej szkoły i dobrze zakonserwowane tony średnie, wymownie o tem świadczą. Koncertantka odśpiewała umiejętnie kilka pieśni Chopina, Masseneta, Brahmsa i Bizeta.

kie. Rzecz wiadoma, że niemiecki teatr w Poznaniu, kosztem miasta i zapomogą z prywatnej szkatuły zmarłego cesarza Wilhelma I. wystawiony, a do tego bardzo drogi, pod względem akustycznym prawie wcale najzwyklejszej potrzebie nie odpowiada. W tem przyczyna, że niemiecki przedsiębiorca czynił usilne starania o pozyskanie lepszego lokalu, a takim jest jeden tylko teatr polski o wybornych warunkach akustycznych. W trudnych obecnie czasach zarobkowych, więcej niż 3 razy tygodniowo tak, czy tak, polskich przedstawień dawaćby nie można, dochód z 4 wieczorów tygodniowo, za które niemiecki przedsiębiorca bardzo dobrze zapłaci, będzie w danych stosunkach wcale pożądaną i tylko na korzyść stałego polskiego teatru w Poznaniu obracającą się nadwyżką.

Sztuki plastyczne.

Klub malarzy i rzeźbiarzy w Krakowie postanowił w ciągu bieżącego miesiąca otworzyć w lokalu klubu zbiorowy kurs malarstwa dla amatorów, a nawet już pewna liczba nadesłała swoje zgłoszenia i z chwilą zamknięcia kompletu lekcje natychmiast się rozpoczną. Liczne zamówienia obrazów i rzeźb kościelnych, jakie codziennie na ręce wydziału napływają, pochlebnie świadczą o rozwoju i potrzebie klubu.

Juljusz Kossak wykonał dla prezydjum magistratu krakowskiego obraz, przedstawiający bal, wydany dla Zyblikiewicza. Płótno przedstawia chwilę okazania się wesela krakowskiego ze starostą weselnym (Adam hr. Krasiński), oraz gospodarzami (Zyblikiewiczem i Deotymą). W grupach są sportretowane bardziej znane osobistości krakowskie.

Kronika powszechna.

Uczniowie niedawno zmarłego prof. Teodora Stahlbergera pragnąc uczcić pamięć jego utworzyli komitet celem zebrania składek na utworzenie wieczystej fundacji stypendyjnej jego imienia. Składki przyjmują wszystkie redakcje pism polskich.

Prof. Maksymilian Nowicki znakomity przyrodnik polski obchodził zeszłego tygodnia 25 rocznicę swej działalności. Zasłużonemu profesorowi złożyli gratulacje koledzy, byli uczniowie, jakoteż władze autonomiczne w uznaniu prac jego około przyrodoznawstwa a rybołostwa w szczególności.

Jubileusz gimnazjum nowodworskiego (św. Anny) w Krakowie zgromadził zeszłego tygodnia tamże kilkuset uczestników z rozmaitych dzielnic Polski. W teatrze odegrali uczniowie gimnazjalni „Antygonę“ w przekładzie Czubka. Po uroczystem nabożeństwie w amfiteatrze nowodworskim przemawiali prof: Kulczyński, Kasparek, Wojciechowski i Tarnowski. Prof. Leniek miał odczyt o „Latach szkolnych króla Sobieskiego, ucznia gimn. św. Anny“. Uroczystość zakończyła się nabożeństwem i odsłonięciem tablicy pamiątkowej dla Bartłomieja Nowodworskiego, fundatora tego gimnazjum.

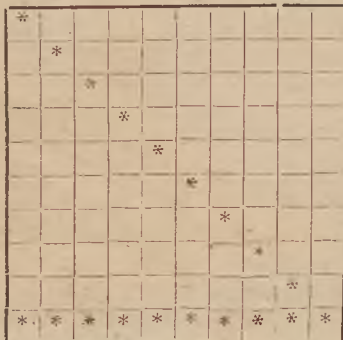
Dr. Józef Korzyński, warszawianin docent uniwersytetu kazańskiego, został profesorem nadzwyczajnym w Tomsku, gdzie objął katedrę botaniki.

Księgarnia polska ma powstać w Wiedniu. Filję mieć będzie w Pradze, Zagrzebiu i Białogrodzie.

Zmarli.

† *Józef Pistl* zasłużony kapelmistrz lwowskiej muzyki „Harmonia“ w 59 r. życia. Albert *Zimmermann*, zaszczytnie znany malarz zmarł w Monachjum w 80 roku życia. — Marja z Lipskich hr. *Skórzewska*, przeżywszy lat 84, zmarła w Poznańskiem w Czerniejowie. — W Pilcy zmarł znany lekarz warszawski dr. Antoni *Seeman*. — W Warszawie zmarła w tych dniach Marja z Marczewskich *Kostrowicka*, wyborna tłumaczka pisarzów francuzkich. Pracami swemi zasilała przeważnie „Bluszcz.“

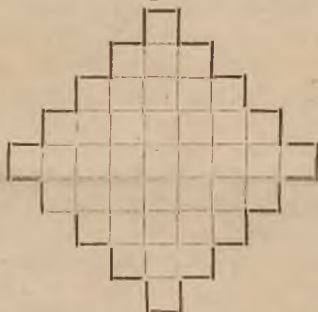
Kryptogram.



1. Osobistość z czas. Kościuszki
2. Człowiek któremu się wierzy
3. Stopień duchownego w starżyt.
4. Pasmo gór
5. Naczelnik powstania
6. Nasz olbrzym pracy
7. Zapoznany poeta
8. Przylądek w Grecji
9. Antor Jana z Tęczyna
10. ? ? ?

Przekątnia i podstawa kwadratu daje nazwisko wielkiego poety.

Zadanie djamentowe.



1) Spółgłoska, 2) rzemiosło, 3) Miasto, 4) filozof, 5) . . . . ? 6) Wyspa, 7) Imię żeńskie, 8) zaimek, 9) samogłoska.

Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **powieść M. Grochowalskiej „Złamany a nieugięty“.**

Rozwiązanie zadania koninikowego.

Ten może deptać węże, głaskać lwy i tury,
kto wyrwał z siebie żądło, rogi i pazury.

Rozwiązanie zadania konikowego nadesłali: Pp. S. Hauk z Kołomyi, Jan Olszewski z Sambora, Józef Żurowski z Podgórza.
Nagrodę otrzymał **Józef Żurowski** z Podgórza.

Korespondencje Redakcji.

Pni M. Z. K. w G Sąd pani o zapowiedzianym w r. 1889. konkursie mężczyzn w Spaa, jest bardzo trafnym. Jeżeli można wybaczyć lekkomyślnej kobiecie wystawienie swoich wdzięków na publiczne widowisko, to nigdy względność taka nie może być zastosowaną do mężczyzn a propozycja sama takiego konkursu zasługuje na surowe skarcenie. Zdaniem naszem pomysł ten należy między bajki włożyć, wątpimy bowiem, ażeby tak poniżająca godność ludzką propozycja miała być pomyślaną serjo.

P. Marjan P. w L. Rocznik „*Ruchu*“ z 1887. kosztuje tylko 4 złr. resztę przeto zwracamy.

P. A. R w Kr. Manuskrypt podług życzenia pańskiego, przechowaliśmy.

Pui Zefia W. w T. W przyszłym numerze.

Panów Autorów i Wydawców życzących sobie oceny swoich dzieł w „RUCHU i WIECZORACH ZIMOWYCH“ upraszamy o nadesłanie dwóch egzemplarzy.

Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Błotnicki. Z drukarni nar. W Manieckiego, zarządca Walenty Hodak.